

Ojciec „zapromieniowanych“

Stanisław Stampfl: Nie ma nieznanych wysp. Państw. Teatr Powszechny. Reżys. Jacek Szczek, scenogr. Zofia Wierchowicz.

AUTOR sztuki znany był dotychczas tylko jako twórca siuchowisk radiowych i widowisk telewizyjnych. Sama sztuka „Nie ma nieznanych wysp” narodziła się zresztą z widowiska telewizyjnego, które otrzymało pierwszą nagrodę w ogólnopolskim konkursie telewizyjnym roku 1959. Tu należy szukać źródła pewnej jednoplanowości akcji, która chwilami ciążyła na spektaklu.

Ale zasknijmy raczej od zalet sztuki i widowiska. Bezwzględna zasługa autora jest sięgnięcie po temat całkiem nowy, związany z ostatnimi osiągnięciami wiedzy, a jednocześnie nawiązanie do polskich tradycji dramatycznych niedawnej daty. Mam tu na myśli sztuki Brunona Winawera, pisarza i fizyka w jednej osobie oraz Cwojdzńskiego, który opierał akcję swych utworów kolejno na teoriach Freuda i Einsteina.

Stampfla zajęło nieco odmiennie, niż Winawera i Cwojdzńskiego zagadnienie. Chodzi mu o to, czy odkrycia atomowe dadzą się użytkować jedynie dla dobra ludzkości i do jakiego stopnia stanowią one dla niej niebezpieczeństwo.

Zagadnienie, które niepokoi nie tylko autora, pokazane zostało na przykładzie rodziny fizyka atomowego Jima, który w czasie pracy dotknięty zostaje radioaktywnością i gdy licznik Geigera, ustawiony w jego mieszkaniu, wykazuje duży stopień promieniowania, Jim wraz z całą rodziną (żoną, dwojgiem dorastającej młodzieży i małym synkiem) zostaje odosobniony od świata na nieokreślony czas. Sztuka ukazuje dramat rodziny, odmienny dla każdego z nich osobna i zakończony tragicznym akordem wiecznego izolowania na wyspie, zaludnionej przez radioaktywnych mieszkańców.

AKCJA sztuki rozkręca się bardzo powoli, ale w miarę jej posuwania wzrasta napięcie. Gdy w pierwszym akcie widzowie są nieco zniercierpliwieni powtarzaniem pewnych motywów, jak choćby nadużywaniem rozmów telefonicznych i wypytywaniem Jima przez poszczególnych członków rodziny o to, co będzie, w dalszych aktach sprawa nabiera na sile, jeżeli tak można powiedzieć, dojrzewa do dramatu. Zwyczajny pracownik laboratoryjny Jim urasta do jakiegoś nowoczesnego ojca nie tyle zadumionych, co „zapromieniowanych”, który własnymi oczyma będzie musiał patrzeć na kolejną zagładę wszystkich swych najbliższych ukochanych. Jest to tym tragiczniejsze, że obraca się w kręgu spraw pozbawionych patosu; codziennych sprzętów, śniadań i kolacji, puszek z konserwami, butelek z mlekiem, zabawek dziecięcych małego Joe i tym podobnych akcesoriów.

To wszystko „bierze” widza i każe mu zapomnieć o niektórych naiwnościach dramatycznych, związanych z faktem, iż jest to pierwsza sztuka pełnospektaklowa tego autora.

Sądzę zresztą, że za pewne niedociągnięcia ponosi winę reżyser. Dobrze pomyślane epizody powtarzających się rozmów przed bramą, prowadzonych przez Kobieta, Windziarza, Mleczarza i Gazeciarza, będące w intencji autora upostaciowaniem opinii na temat wypadków, rozgrywających się w mieszkaniu fizyka, nie zostały dostatecznie reżysersko wyzyskane: płynęły jak gdyby równoległe do akcji, zamiast się z nią łączyć.

Fizyka zwanego w rodzinie żartobliwie „Wielkim Jimem” grał Mieczysław Serwiński, jak gdyby z pewnym zażenowaniem. Nie łatwo jest odtwarzać nowoczesnego Hioba, który musi się przecież zachowywać wobec

rodziny z maksymalną beztróską i swobodą. Ta swoboda cechowała grę Elżbiety Wleczorkowskiej, matki rodziny, której sił dodaje to, że myśli wyłącznie o dzieciach i mężu, a nigdy o sobie. Zofia Kucówna z dużą dozą naturalności odtwarzała cierpienia młodej zakochanej Krystyny, którą okrutny los na zawsze rozdzielił z ukochanym. Bardzo przyjemnym sportowcem Dickiem był Jan Mayzel, zwłaszcza udała mu się znakomicie scena wybuchu gniewnego żalu przy słuchaniu sprawozdania z meczu, w którym nie wolno mu było uczestniczyć.

Ogólny podziw budził bezimienny chłopczyk, odtwarzający małego Joe. Był naprawdę znakomity w każdej ze swych mimicznych scenek. Niesamowicie zagrał epizod Parkera, związanego z Jimem tragiczną wieścią Stefan Rydel. Teofila Koronkiewicz, Tadeusz Janczar, Aleksander Piotrowski i Kazimierz Janus tworzyli znakomity kwartet komentatorów tych wypadków, nie zapominając ani na chwilę, że każdy z nich jest odmiennym typem i reprezentuje odmienną opinię. Przez usta jednego z nich, Windziarza (Janczar), wypowiedział zresztą autor naczelną prawdę swej sztuki:

„...Gdyby naszym uczonym powleźć tak: Dajemy wam wszystko, czego wam potrzeba... Pracujcie dla ludzi a nie przeciwko ludziom”.

KAROLINA BEYLIN

Express
Wiekowy" № 5

27.02.1960.